LOKALNIE · OPINIA

LIBKI, MATA I TOKARCZUK, CZYLI NOWA ARYSTOKRACJA

Kacper Kita · 2 sierpnia 2022



W poprzednim tekście pisałem o tym, że współczesne podziały społeczno-polityczne przypominają te z okresu poprzedzającego wielką rewolucję francuską. Dziś jednak najbogatsi i najbardziej wpływowi bronią zupełnie innych wartości niż historyczna elita. Kim są w Polsce demoliberalni arystokraci?

Kosmopolityzm i tożsamość grupowa

Historyczna europejska arystokracja i współczesna arystokracja demoliberalna są do siebie podobne w jeszcze jeden, kluczowy sposób. Jedna i druga grupa społeczna są kosmopolityczne. Czują silniejszą więź z członkiem tej samej klasy z innego kraju niż z rodakiem z klasy niższej. Statystyczni XVIII-wieczni arystokrata francuski i arystokrata hiszpański czuli się w swoim towarzystwie znacznie bardziej komfortowo niż przy mieszczaninie, nie mówiąc już o chłopie.

Arystokratyczni uciekinierzy z rewolucyjnej Francji uważali za coś najnaturalniejszego w świecie zbrojną walkę z armią Republiki, a potem napoleońskiego Cesarstwa. Wspólnie ze swoimi braćmi w innych europejskich stolicach narzekali na uzurpatora Bonapartego. Lojalność wobec monarchy, stanu społecznego i tradycyjnego ładu była dla nich w oczywisty sposób ważniejsza od lojalności wobec własnego państwa narodowego. Wielu z nich miałoby wielki problem ze zrozumieniem tego pojęcia.

Kolejne dwa stulecia od wielkiej rewolucji upłynęły w znacznej mierze pod hasłami egalitarystycznymi – przyrodzone przywileje miały być zniesione, a nierówności zatarte. I rzeczywiście – w drugiej połowie XX wieku już tylko garstka ekscentryków spośród potomków dawnej arystokracji rzeczywiście chciała zadawać się tylko z sobie podobnymi. Oczywiście istnieją cały czas liczne dawne rody, a nawet zjawisko endogamii – wydawania dzieci arystokratów za dzieci innych arystokratów. Jest to jednak tylko ciekawostka, w skali społeczeństwa marginalna.

System demoliberalny wytworzył jednak własną, nową arystokrację. Globalizacja, rozwój nowoczesnych technologii i ideologiczna dominacja progresywnego liberalizmu umożliwiły swobodny przepływ ludzi i kapitału na skalę dotąd niewyobrażalną. Powstała cała klasa ludzi, którzy na tych przemianach skorzystali, i którzy są dziś w stanie funkcjonować w oderwaniu od wyraźnej większości społeczeństwa i jej problemów. Mają oni swoją własną tożsamość – czują się „obywatelami świata", „Europejczykami", często też heroldami postępu. Postępu, który głosić tym łatwiej, gdy się on danemu heroldowi zwyczajnie opłaca.

> **Budowa demoliberalnej dominacji w skali globalnej jest materialnym interesem nowej arystokracji, do którego wytwarzają – w celu uzasadnienia własnych działań i przekonywania mas – podbudowę ideologiczną.**

Tą podbudową ideologiczną są definiowane przez członków demoliberalnej arystokracji kolejne generacje praw człowieka – znów dziedzictwo wielkiej rewolucji francuskiej. Dawno wyszły one poza te podstawowe, takie jak prawo do życia i uczciwego procesu, zakaz tortur czy wolność słowa. Prawem człowieka okazują nie tylko fanaberie okołoseksualne typowe dla społecznej degeneracji wskutek bogactwa, takie jak „płynność płci", ale również np. prawo do imigracji ekonomicznej i swobodnego osiedlenia się w wybranym kraju – nawet, gdy dotyczy to wielomilionowych grup obcych cywilizacyjnie danemu terytorium. A to już bardzo realny i uciążliwy problem, odbijający się na całych zachodnich narodach – ich sytuacji materialnej, ich bezpieczeństwie (przestępczość zorganizowana, gwałty etc.), ich bezpieczeństwie kulturowym i ich możliwości wychowania kolejnych pokoleń w zgodzie z wyznawanymi wartościami. W kategoriach parareligijnych, jako objawiony z Góry dogmat, opisywana była też przez lata konieczność swobodnego przepływu wielkiego kapitału – znów odbijająca się mocno na sytuacji materialnej milionów pracowników i drobnych rodzimych przedsiębiorców. Nihilistyczne i hedonistyczne imprezy spod znaku „LGBTQ+" i „praw reprodukcyjnych" przypominają często rytuały religijne, a udział w nich ma być obowiązkowy dla każdego przyzwoitego człowieka.

> **Zdaniem Christophera Lascha świat zachodni ewoluuje w kierunku „dwuklasowego społeczeństwa, w którym nieliczni uprzywilejowani monopolizują pieniądze, szkolnictwo i władzę oraz płynące z nich korzyści".**

Członkowie nowej arystokracji wytworzyli własną tożsamość, grupową solidarność i własne kody kulturowe. Jako ludzie często od małego podróżujący po całym świecie i obracający się w towarzystwie sobie po-

dobnych, czuli się u siebie w najlepszych dzielnicach wielkich miast – czy Nowego Jorku, czy Londynu, czy Paryża, czy Szanghaju – dużo bardziej niż wśród swoich formalnych rodaków z mniejszych miejscowości w Stanach, Wielkiej Brytanii czy Francji. A mieli prawo się tak czuć, bo jednym z głównych skutków globalizacji jest dążenie do standaryzacji stylu życia, kultury popularnej i szeroko pojętego profilu klienta oraz pracownika. Zalicza się do tego także standaryzacja ubioru czy architektury, zwłaszcza w najlepszych dzielnicach największych miast.

Pycha, a często także zawodowa bliskość nowym technologiom, prowadzi wielu spośród członków nowej arystokracji do wiary we własną wszechmoc oraz naturalną niższość wszystkich spoza ich klasy. Christopher Lasch pisze, że współczesne masy mają „znacznie lepiej rozwinięte poczucie własnego ograniczenia". Tymczasem jego zdaniem „młodzi profesjonaliści" z globalnej klasy menedżerskiej „poddają się wymagającemu rozkładowi ćwiczeń fizycznych i planom żywieniowym, które mają za zadanie powstrzymać śmierć". Chcą „podtrzymać się w stanie wiecznej młodości, wiecznie atrakcyjni, wiecznie zdolni do zawierania nowych małżeństw", podczas gdy „zwykli ludzie akceptują rozkład ciała jako coś, z czym walka jest mniej lub bardziej bez sensu".

Fascynacja wieczną Młodością i Zmiennością oraz wiążącymi się z tym nieograniczonymi możliwościami to motyw od dawna obecny w kulturze – ważny i obecny był on choćby w twórczości Witolda Gombrowicza. Jeśli chodzi o bardziej współczesnych pisarzy, to czarno na białym możliwe skutki takiego stylu życia pokazuje w swoich książkach Michel Houellebecq – przychodzi na myśl choćby postać Christiane z jego *Cząstek elementarnych*, kobieta w średnim wieku stale bawiąca się w wyszukane orgie seksualne i próbująca różnych ekscentrycznych zabaw, aż podczas którejś kolejnej doznała wypadku i stała się sparaliżowana od pasa w dół. W chwili, gdy stała się inwalidą, jej ciało przestało być sprawne i Christine nie mogła już „używać życia". W obliczu tego problemu wolała popełnić samobójstwo – poprawnie politycznie nazywa się takie sytuacje eutanazją na życzenie.

Nowoczesne technologie oraz liberalna przebudowa moralności w kierunku hedonistycznym i permisywnym – wszystko, czego jednostka chce dla siebie, jest moralne, za to niemoralne jest ocenianie cudzych wyborów – te dwa skrzydła mają wznosić nową arystokrację ku ucieczce od chorób i śmierci, ale w razie jednostkowej porażki również ku możliwości szybkiego, bezbolesnego i społecznie akceptowanego „skrócenia cierpienia". Człowiek-bóg ma być panem swojego losu, od początku do końca.

Pisarzem opisującym tę przyszłość jako pożądaną i atrakcyjną jest z kolei Juwal Noah Harari – nie bez przyczyny tak popularny w kręgach demoliberalnej arystokracji, choćby w Dolinie Krzemowej. Harari, obok politycznej wizji budowy ogólnoświatowego kosmopolitycznego imperium oraz likwidacji wszelkich form suwerenności narodowej i religii, rozwija wizję podziału ludzkości na wybranych, którzy będą w stanie przy pomocy technologii zapewnić sobie nieśmiertelność, oraz zbędne w gruncie rzeczy masy. Byłoby to czysto biologiczne już utrwalenie różnicy między „nadludźmi", a zwykłymi *homo sapiens*. Transhumanistyczne fantazje o stworzeniu nowego, lepszego gatunku człowieka są zresztą obecne również u Houellebecqa. W praktyce Harari proponuje demoliberalnym arystokratom przeprowadzenie podziału, o którym lubili myśleć również liczni historyczni arystokraci. W żyłach nieśmiertelnych nadludzi rzeczywiście mogłaby płynąć inna, błękitna krew. Francuska szlachta często wierzyła, że pochodzi od Franków, a ich poddani, lud francuski, od Galów – sami Frankowie mieli zaś być potomkami króla Priama i uciekinierów z Troi. W Polsce popularny był mit pochodzenia szlachty od Sarmatów.

CZYTAJ TAKŻE: Potrzebujemy odnowienia polskiej kultury

Z kamerą wśród libków

Polską specyfiką wyodrębnienia się funkcjonalnej arystokracji była postkomunistyczna transformacja ze wszystkimi jej patologiami. Łatwiejszy start w nowej rzeczywistości miała czerwona nomenklatura wraz z rodzinami oraz zachodni kapitał i grupy interesu – nierzadko współdziałające. Jednocześnie w mediach kultywowano wizję „równych szans" po 1989 r., na których skorzystali ci najzdolniejsi i najbardziej zaradni. Zjawisko jest doskonale znane i opisane, a pojęcia takie jak „salon" czy „Michnikowszczyzna" weszły do debaty publicznej już wiele lat temu.

W ostatnich miesiącach pojawiła się seria artykułów – głównie w „Gazecie Wyborczej" – opisujących rzekome dramaty, z jakimi stykają się dzisiaj w Polsce przedstawiciele „klasy średniej". Każdy taki tekst szybko zdobywa dużą popularność, a internauci prześcigają się w wyciąganiu co bardziej groteskowych przykładów oderwania bohaterów od rzeczywistości. Kolejnym słowem, które weszło do powszechnego użycia, stał się „libek" – uprzywilejowany i doktrynerski zamożny liberał, wróg najbardziej oddanych sympatyków tak lewicy, jak i PiSu.

Czytając te artykuły trudno oprzeć się wrażeniu, że to utwory satyryczne albo wyrafinowana operacja dywersyjna, mająca na celu zbudowanie społecznej wrogości wobec „libków". Proste odpowiedzi są jednak zgodnie z brzytwą Ockhama najbardziej prawdopodobne – po prostu w Polsce żyje sobie niewielka, ale wpływowa grupa funkcjonalnych arystokratów wybitnie oderwanych od rzeczywistości. I tak dowiadujemy się o ludziach zarabiających po kilkanaście tysięcy złotych miesięcznie na rękę, ale mających problem z odłożeniem jakichkolwiek oszczędności. O poniżeniu, jakim jest konieczność kupienia dziecku loda w Żabce, a nie w markowej lodziarni. O cierpieniu, jakie wywołuje niemożność polecenia sobie spontanicznie do Włoch ot tak, żeby zjeść włoską pizzę. O bólu związanym z wysłaniem dziecka na dzielnicowy basen, a nie na prestiżową Warszawiankę.

Tożsamość polskiej demoliberalnej arystokracji nie byłaby pełna, gdyby nie budowane od lat poczucie wyższości wobec mas, które „nie poradziły sobie w transformacji", a obecnie „piją wódkę za 500+", „śmierdzą w pociągach" i zapełniają plaże razem ze swoimi obrzydliwymi, krzyczącymi dziećmi.

> **Wypromowanie pojęcia „libek" to ciekawy przykład zemsty i odwrócenia w kierunku „salonu" siły społecznej stygmatyzacji.**

Ciekawy, tym bardziej że łączący sympatyków różnych środowisk politycznych. Orientujących się, że w tej sprawie są w wyraźnej większości. „Libki" są silniejsze w instytucjach władzy politycznej, finansowej i kulturowej, ale bez problemu można je demokratycznie przegłosować. Oczywiście o ile wybory jeszcze cokolwiek znaczą, a politycy reprezentujący „lud" mają władzę większą niż administrowanie w granicach wyznaczonych przez „liberalistokrację".

CZYTAJ TAKŻE: Jak zrobić album o Powstaniu Warszawskim bez słowa o Polsce? „Wolne Serca" Kwiatu Jabłoni

Tokarczuk zamiast Żeromskiego

Reprezentantką nowej polskiej arystokracji w świecie kultury jest bez wątpienia Olga Tokarczuk. Laureatka literackiej Nagrody Nobla z 2018 r. przypomniała o sobie niedawno, gdy stwierdziła otwarcie, że ona „nie chce docierać pod strzechy", ponieważ „literatura nie jest dla idiotów". Tokarczuk deklaruje, że pisze „dla swoich krajan", „ludzi podobnych do mnie". Oczywiście gdy mowa o „krajanach", nie chodzi tu o Polaków, ale o realnie istniejącą wspólnotę ludzi, których łączy liberalno-lewicowa ideologia, a często również status materialny.

> **Nawet jeśli jednak demoliberalni arystokraci nie są tak naprawdę szczególnie majętni, i tak czują się lepsi od „ciemnego", nie żyjącego zgodnie z „zachodnimi wartościami" ludu – tak samo jak historyczni arystokraci, nierzadko zubożali, ale patrzący z wyższością na mieszczan i chłopów.**

Docieranie „pod strzechy" oznaczało kiedyś edukowanie, kształcenie i pomoc wobec najsłabszych i najuboższych – tych, którzy nie mieli możliwości budowy domu z dachem innym niż taki ze słomy lub trzciny. 100-150 lat temu właśnie tak swoją rolę widziała postępowa polska inteligencja. Jej reprezentantem był inny pisarz – Stefan Żeromski, też zresztą sympatyk lewicy. Lewica Żeromskiego była jednak lewicą patriotyczną i troszczącą się o niższe warstwy społeczne. Żeromski był jednym z twórców etosu polskiego inteligenta, który powinien poświęcić swoje życie dla polonizacji, kształcenia i pomocy chłopów i robotników. Jego bohaterowie z *Ludzi bezdomnych* czy *Siłaczki* poświęcali osobiste szczęście, a czasem nawet życie, byle tylko spełnić swoją misję.

Tokarczuk nie jest podobnym etosem czy misją zainteresowana w najmniejszym stopniu. Nie czuje z biednymi Polakami żadnej więzi – bo też sama nie czuje się Polką. Podobnie jak XVIII-wieczni arystokraci, czuje więź przede wszystkim ze swoją warstwą społeczną. Ciemny polski lud jest jej obcy, gardzi nim – to „idioci" – a zapewne postrzega go również jako zagrożenie. Usprawiedliwienie dla słów noblistki w bardzo prosty, ale uczciwy w gruncie rzeczy sposób znalazł inny „salonowy" pisarz, Jakub Żulczyk. Zdaniem Żulczyka Tokarczuk jest świetną „sojuszniczką lewicy, queer i feminizmu", więc w żadnym razie nie należy jej „kancelować". A poza tym zwykłych, uboższych Polaków nie ma co idealizować – zdaniem Żulczyka „lud" chętnie „wpierdoliłby" „równościowcom".

Nowi arystokraci czują się ofiarami złego ludu, przed którym mają ich chronić instytucje demokracji liberalnej. Niezależnie od tego, jak bardzo dominowaliby w świecie zachodnim, ile nie mieliby władzy, wpływów czy pieniędzy, i tak będą uważać siebie za ofiary, a demoniczny lud za groźnych barbarzyńców. Obrzydliwi, zacofani Polacy, „idioci", świętoszkowaci katolicy upijający się za 500+, bijący swoje żony i miejscowych gejów – to *populus*, to cham z dramatów Mrożka, który w każdej chwili jest gotowy przyjść poniżać lub pobić lewicowego inteligenta.

Dodatkowym powodem, dla którego „idioci" „spod strzech" są niebezpieczni, jest ich relatywnie duże przywiązanie do katolicyzmu i katolickiej moralności. Różni demoliberalni arystokraci mają różne alternatywne, antychrześcijańskie wierzenia religijne. Olga Tokarczuk to przypadek o tyle ciekawy, że noblistka kolejne generacje „praw człowieka" uzupełnia w swoich książkach afirmacją pierwotnego świata, sprzed zniszczenia go przez żądnych władzy chrześcijańskich mężczyzn oraz nastania porządku opartego na przemocy i wyzysku. Tokarczuk deklarowała przy innej okazji: „Unieważniłam granicę człowiek-zwierzę,

pokazałam, że leży ona zupełnie gdzie indziej i ma związek nie z gatunkiem, lecz z władzą, dostępem do dóbr".

Jak pisze Bartosz Brzyski w swoim niedawnym, znakomitym artykule dla Klubu Jagiellońskiego: „W tych intuicjach, obecnych w całej twórczości Tokarczuk, dostrzec można ewolucję antropologii, która rezygnuje ze świata naznaczonego męską dominacją nad stworzeniem." „Tęsknota za naturą jest jednocześnie połączona z niechęcią wobec martwej i zrytualizowanej kultury katolickiej. To stałe motywy w twórczości noblistki. Katolicy są przedstawieni jak bezmyślni tyrani niewolący naturę, znęcający się nad zwierzętami, pozbawieni skrupułów w relacjach z przyrodą. To natura, nie kultura ugruntowana na katolicyzmie, stanowi źródło sensu i prawdziwego życia".

Dla Tokarczuk zastępczym proletariatem są głównie zwierzęta i kobiety, dla innych przede wszystkim imigranci spoza Europy (najlepiej ciemnoskórzy muzułmanie, najbardziej „odmienni" i „różnorodni"), dla jeszcze innych „mniejszości seksualne" – pojęcie rozciągane nie tylko na homoseksualistów, ale również „osoby niebinarne", „queer" czy „panseksualne" – wytwory ich chorej wyobraźni i ofiary ich indoktrynacji oraz garstkę osób zaburzonych. Wszystkie te postawy łączy jedno – rezygnacja z opieki i służby wobec realnie istniejącego ludu. Zwłaszcza tyczy się to białych mężczyzn z klasy pracującej, którzy powinni po prostu przestać istnieć w imię historycznej sprawiedliwości.

Rapując dla establishmentu. Patointeligencja i patoarystokracja

Kolejnym reprezentantem funkcjonalnej arystokracji i opisywanego problemu jest raper Michał Matczak, pseudonim Mata – syn znanego prawnika prof. Marcina Matczaka. Mata promowany jest w demoliberalnych mediach na każdym kroku i przedstawiany jako „głos młodego pokolenia". „Antypisowski" Mata budzi jednak wątpliwości nie tylko zwolenników obecnego rządu, ale także części lewicowców. Mata jest bowiem reprezentatywnym dla sporej części swojego pokolenia, skupionym na sobie liberalnym egoistą – a reprezentatywność łączy się z popularnością. Nie mówię tego przy tym ja, prawicowy malkontent, tylko Marcin Duma z IBRIS-u, onegdaj działacz SLD. Cytat: „Myślę, że Leszek Balcerowicz może być dumny z tego pokolenia".

Mata reprezentuje egoizm, skupienie się na sobie, komforcie, przyjemności, pieniądzach, osobistym sukcesie. Nie ma tu miejsca dla narodu czy rodziny, ale też dla lewicowego rozumienia wspólnoty. „Lewicowe" poglądy istotnej części młodzieży w sprawie aborcji czy LGBTQ+ wynikają – oprócz typowego buntu wobec *status quo* i socjalizacji we współczesnej antytradycyjnej zachodniej popkulturze – z przyjętego paradygmatu rozumianej permisywnie wolności. Jednostka i jej zachcianki to najwyższa wartość.

Mata jest indywidualistą z elity promowanym przez innych indywidualistów z elity. Bogaty jest dzięki rodzicom, jego „wykształcenie" to dobre liceum i ponoć trzy języki obce. Ojciec, demoliberalny arystokrata, zadbał o znajomość języków dziedzica, tak jak arystokraci klasyczni kiedyś uczyli swoje pociechy francuskiego, łaciny, greki, niemieckiego etc. Jest znakomitym przykładem dziedziczenia pozycji społecznej, przywilejów wynikających z urodzenia oraz „lekkiego" stylu życia – narkotyki, imprezy, rzeczona „patointeligencja". Widać tu duże podobieństwo do rozpuszczonych dzieci historycznych arystokratów. Poniekąd całą omawianą grupę społeczną można by nazwać „patoarystokracją".

Nieoczekiwana zamiana miejsc

Jednocześnie jednak Mata uważa się za buntownika walczącego z systemem. Tak też przedstawia go oj-

ciec, profesor Marcin Matczak. Książkę „Jak wychować rapera" Matczak reklamuje: „Opowieść Taty Maty. O relacji ojca z synem, patodemokracji i potrzebie rebelii. Wychowujemy nasze dzieci do posłuszeństwa, a zapominamy wychowywać je do buntu. Tymczasem porządny człowiek, a co za tym idzie – dobry obywatel, musi wykształcić w sobie zdolność do rebelii, jeśli okoliczności tego wymagają. Dlatego też w książce tej opowiadam historię o chłopaku wychowywanym do posłuszeństwa, który potrafił się zbuntować".

W samej książce czytamy, że Michał Matczak „jak to urodzony buntownik, pojawił się na świecie dokładnie w rocznicę zdobycia Bastylii. Co do minuty – sprawdziłem w źródłach. Oni atakowali około trzynastej dwadzieścia, on zaatakował świat dokładnie w tej samej chwili, dwieście jedenaście lat później. Wiecie, jak to jest: nie ma przypadków, są tylko znaki".

Mata czuje się buntownikiem, tak jak Tokarczuk i Żulczyk czują się ofiarami. Fajnie jest być buntownikiem przeciwko systemowi, jednocześnie mogąc liczyć w wieku 19-20 lat na promocję przez największe media, wpływowe środowiska i wielki biznes. Tacy wykreowani buntownicy, których „bunt" sprowadza się do płytkiej estetyki, a którzy w rzeczywistości lojalnie współpracują z każdą gałęzią systemu (od polityków po McDonald's) i legitymizują *status quo,* są niezwykle cenni dla demoliberalnej arystokracji.

Tak naprawdę to Matczakowie, Tokarczuk, Żulczyk i ich zachodni odpowiednicy bronią dziś demoliberalnej Bastylii przed ludem, reprezentowanym przez rosnące w siłę ruchy „populistyczne". Naszym zadaniem jest zadbanie o to, by ten bunt nie był ślepy, bezcelowy ani barbarzyński.

fot: wikipedia.commoms

Oryginał: https://nlad-kopia1113.instawp.site/libki-mata-i-tokarczuk-czyli-nowa-arystokracja/

WSPÓŁTWÓRZ NOWY ŁAD

Za Nowym Ładem stoją czytelnicy, którzy dorzucają się do jego istnienia. Dołącz do nich — jednorazowo, w kwocie, która Ci odpowiada.

DOŁĄCZAM

wspieram.nlad.pl

Zeskanuj, aby wesprzeć